

LISTY DO REDAKCJI

Do Ludwika Stommy w sprawie metodologicznej naiwności przez: Redakcję Polskiej Sztuki Ludowej

W czerwcu 1990 roku dotarł do mnie numer PSL oznaczony sygnaturą R.XLIII, 1989, nr 4, w którym na stronie 205 Ludwik Stomma odpowiada na pytanie czy w etnografii występują białe plamy. To dość koniunkturalne wówczas pytanie redakcji, ze względu na czas kiedy je zadawano (przypominam rok 1989 i dwuznaczne wypowiedzi tzw. mieszanych komisji partyjnych historyków) wywołało polemiczny zapal pozostającego w oddaleniu Ludwika. Uważam, że trochę niesprawiedliwie rozdał On zasługi przypominając rolę tylko warszawskiej Katedry Etnografii w przełamywaniu schematów. Lecz nie o to mi głównie chodzi. Zgadzałem się w wielu punktach z Jego diagnozą, zwróciłem szczególną uwagę na następujący fragment Jego wypowiedzi:

„...Po drugie zacofanie metodologiczne dyscypliny (parę jaskółek wiosny nie czyni), która nie uświadomiła sobie nadal, że jej specyfika zasadza się w sposobie spojrzenia na obiekt, a nie w formie owegoż obiektu lub jego nieistniejącej 'jakotakości'. Stąd tylko na marginesach środowiska (IS PAN, grupa 'grupa skawiczan', Jacek Olędzki) prowadzi badania nad cywilizacją współczesną, nad własnym środowiskiem dnia powszedniego. Zresztą i wśród tych pionierów nie brakuje metodologicznej naiwności, kiedy to na przykład rozumie się po frazerowsku mit jako dziwactwo (praca o herbach szlacheckich w reklamie) lub wyprowadza hipotezy z pozycji wartościujących (prace o pieśni strajkowej, kulcie papieża), zapominając o podstawowej, a mało widać znanej, zasadzie, iż etnolog dziwi się a nie ocenia...”

Jakbym tego tekstu nie odczytywał, wiem, że fragment o naiwności metodologicznej i frazerowskim traktowaniu mitu, dotyczy mojego tekstu „Klejnot i reklama” (PSL R.XLI, 1987, nr 1–4, s. 155–158). Znam skłonność Ludwika Stommy do wystawiania wszystkim cenzurek i przyjmują ją (tę skłonność) w naszej

przyjaźni z całym bogactwem inwentarza Jego osobowości. W tym przypadku jednak, cenzurka stała się istotnym zarzutem merytorycznym i metodologicznym, z którym się nie zgadzam. Inkryminowany tekst nie zawiera interpretacji mu przypisywanych. Proponuję więc rzeczową publiczną rozmowę wyjaśniającą zarzuty. Powiadam publiczną z dwóch powodów: po pierwsze, publiczna była ocena, po drugie będzie to zgodne z postulatem Ludwika Stommy proponującym merytoryczne polemiki.

Być może, nasza dyskusja, do której wzywam, nie poruszy środowiska. Wywoła co najwyżej plotki, że oto próżniło się dwóch przyjaciół. Odrzucając z góry takie przypuszczenia stwierdzam, że podejmując polemikę nie czuję się urażony, nie jestem „dotknięty na osobowości i statusie” i pozostaję z Ludwikiem S. w dobrych stosunkach.

Zasady erystyki wymagają by sąd przedstawiony udowodnić. Proszę więc Ludwiku uzasadnić swoją tezę, że w pracy o herbach szlacheckich w reklamie ... „rozumie się po frazerowsku mit jako dziwactwo...” eo ipso ten krótki tekst jest naiwny metodologicznie. Pisziesz dalej, że etnolog ... „powinien się dziwić a nie oceniać...”, dziwię się więc, że nie wychwyciłeś lub w pośpiechu przeoczyłeś zamieszczoną tamże tezę R. Barthesa – wszak to Twój ulubiony autor – otwierającą cały wywód. Reszta tekstu jest jej rozwinięciem. Gdzież więc frazerizm. Ale dość... zacząć należy od Twojego Panie Ludwiku dowodu, po nim rozwinąć będzie można merytoryczną dyskusję.

Jeżeli zaś odpowiedzi nie będzie, a nie dopuszczam złej woli redakcji, która polemiki nie zamieściłaby, stwierdzić przyjdzie, że dopuściłeś się Pan nadużycia, pochopnie i fałszywie przedstawiając cudze myśli i poglądy. To z kolei nawet tak relatywistycznie nastawiony etnolog jak Ty powinien już uznać za błąd, ba więcej – za grzech.

Czesław Robotycki

Stomma w odpowiedzi Robotyckiemu

Czesławie, stary druhu i przyjacielu!

Drobną, retoryczną szpilkę uznać raczyłeś za „istotny zarzut merytoryczny”. Tymczasem w moim krótkim tekściku celowo napomknąłem tylko o treści artykułu nie podając tytułu, ani autora, by zaznaczyć, że chodzi o konkretny esej, a nie o całość kształt Twojej twórczości, którą, jak wiesz, wielce podziwiam i cenię. Skoro jednak pozywasz na udeptaną ziemię, cóż mam robić – staję.

W artykule „Klejnot i reklama” przedstawiasz prawdziwe herby „z tamtych lat” i herby z handlowych etykietek. Te pierwsze „były znakiem tożsamości” (wers 114), „stały się częścią historii” (119), „wskazywały na związki rodowe” (114–115), „ich treść została zapomniana” (122) z powodu „współczesnego braku znajomości heraldyki” (120–121). Te drugie „nie nawiązują do polskiej tradycji” (82), „są włączone w szeregi semantyczne degradującej kultury masowej” (132–133), są li-tylko „elementami historii lub historyczności” (124), są wreszcie „bylejakie, źle zakomponowane i w brudnych kolorach” (33). Jest tu wyraźna opozycja. Z jednej strony herb mający treść - herb w kontekście - herb piękny; z drugiej: herb o treści zdegradowanej - herb wyrwany z kontekstu - herb byle jaki. Przypomina to do złudzenia frazerowskie rozróżnienie pomiędzy elementami pozostającymi w kontekście rytualnym, a wyrwanymi zeń przeżytkami, będącymi zredukowaną karykaturą, dziwactwem, czy wręcz przesądem. Tym bardziej, że straszysz nas „osiągnięciem poziomu

banalu, wyrażonym na przykład, w języku potocznym nazwą «jabłok - Leliwa»” (133–135). Słowo „banal” nie ma tu oczywiście sensu; chodzi ci raczej o bezsens, zanik wartości semantycznej pojęcia „Leliwa”... Dla Frazera również powstawanie przesądu zasadza się na kradzieży sensu. Tyle o powinowactwach („zacząć należy od Twojego Panie Ludwiku dowodu”); teraz ad meritum.

W świadomości społecznej funkcjonuje historia (darujmy sobie dyskusję o garstkach luminarzy) jako niespójny i nieciągły system znaków. Są takimi znakami: Sobieski pod Wiedniem, Bartosz Głowacki, Piast, Cud nad Wisłą, Wanda co nie chciała Niemca, dwa grunwaldzkie miecze, husarz, korona, Liberum Veto etc. etc. Masowy odbiorca nie wnika w skomplikowane konteksta i struktury lecz zadawała się obrazami - mitami. Ostatnie lata unaocniają to szczególnie wyraziście, obdarzając wyobraźnię zbiorową takimi mitycznymi matrycami, jak: stalinizm, wojna 1981, Popiełuszko... I tak też było zawsze. Szlachcic wywodzący swe mityczne koligacje sięgał po mity: Rzym, Sarmacja, Wandal... Zmieniają się konkretne obrazy lub nadawane im znaczenia, pozostaje logika powstawania i funkcjonowania wyobrażeń zbiorowych. W ramach tej logiki obrazy, o ile funkcjonują, nie tracą sensu, a tylko go zmieniają. Frazerowsko brzmi więc dla mnie przywoływanie pejoratywnych określeń typu „amatorski kicz” (36), „treść zapomniana” (122), „degradacja” (133). Co znaczył herb w „tamtych czasach” (których konkretnie?) to nam



Fot. W. Czyż

Czesławie pobieżnie zasygnalizowałeś. Ale co znaczy znak-herb dzisiaj? - Jest tylko emblematem „historyczności” nieokreślonej i miazmatycznej? - Nie ma zgody Mopanku!

Herb przywołuje na przykład najprostsze skojarzenie ze szlachetnością, a więc przede wszystkim z wpajaną w szkołach równie dobrze polskich, jak i francuskich, wizją klasy próżniaczek. W Polsce będzie to: „Jedź, pij i popuszczaj pasa”, we Francji: „Après nous la deluge”. Jest w tym obrazku element krytyki społecznej, ale jest przede wszystkim, acz niezamierzony, smak błogości, lenistwa, używania w tle którego kielich dźwięczy. Nie ma kaca, nie ma pawia, nie ma następnego dnia. A dodajmy aluzję do rycerskości, szabli u kontusza - pić męską jest rzeczą. Nieprzypadkowo toteż (można to udowodnić w szczegółowej analizie) herby szlacheckie najczęściej reklamują alkohol. Ale siądźmy do poważnych badań, to znajdziemy zapewne również i drogę prowadzącą od herbu do pikantnego sosu. Rozumiem Czesławie Twoje oburzenie „jabcockiem - Leliwą”, gdyż jabcock istotnie niepijalną jest cieczą, ale jest to zgorzienie estety, smakosza i może miłośnika heraldyki, nie zaś antropologa, który - podtrzymuję - dziwi się, a nie ocenia.

W swoim znakomitym referacie wrocławskim ukazywał Kuba Szpilka głęboki sens plastikowego barachla, czy czerwonych skarpetek. Nie były one dla niego ani kiczem, ani czymś zdegradowanym. Nie było opozycji. Wierzę głęboko, że słuszny to kierunek.

I jeszcze rzecz jedna. Zważywszy Czesławie ileśmy razem nagrzeszyli (osobliwie przeciw szóstemu i dziewiętemu przykazaniu, grzechów głównych nie wspominając), straszenie mnie grzechem właśnie pozwalam sobie uznać za drobne nieporozumienie. Tym bardziej, iż wiesz dobrze, iż to zawsze najbardziej lubilem, co moralnie wątpliwe, wykraczające poza granice i szkodzące zdrowiu. A kiedy się Czesiu spotkamy, pogrześmy znow, mam nadzieję, jak za dawnych lat bywało.

Co zaś do mojej skłonności do wystawiania cenzurek, to dosyć powszechna to przypadłość. Ta tylko różnica, że ja swoich ocen nie taję. Ty na przykład masz u mnie zawsze wielkie, globalne 5+. Całuję Cię serdecznie.

Ludwik Stomma

„Złota gałąź” na «Triobrandach»

Bezpośrednią przyczyną mej krótkiej noty stał się wprawdzie interesujący skądinąd artykuł napisany przez Barbarę Fatygę i Jadwigę Siemiaszko, a zatytułowany: „Po co jechać na Triobrandy?”¹, ale przyznam szczerze, że od jakiegoś już czasu korciło mnie, aby w sprawie, o której zamierzam traktować, napisać słów kilka. Generalnie rzecz biorąc chodzi mi o kwestie rzetelności, precyzji i erudycji badawczej przeciwstawionych pewnej ignorancji i swoistej nonszalancji. Nie zamierzam bynajmniej występować tu w roli „jaśnie oświeconego” lub dozorcę naukowego, bo każdemu z nas takowy by się przydał, lecz jedynie w imię obrony zasady, iż każdy etnolog (etnograf, antropolog społeczny lub kultury) winien posiadać i wykazywać się minimum znajomości elementarza etnologicznego. Do elementarza tego zaliczam choćby pobieżną wiedzę o kilku klasycznych dziełach antropologicznych, a wśród nich m.in. o *Złotej Gałęzi* Jamesa Georgra Frazera oraz całej serii monografii o Triobrandach autorstwa Bronisława Kacpra Malinowskiego, w szczególności o *Argonautach Zachodniego Pacyfiku*.²

Otóż wzięwszy do ręki wspomniany w przypisie 1 numer Polskiej Sztuki Ludowej zauważyłem w spisie treści rażący, acz często się pojawiający, błąd w nazwie archipelagu, na którym Malinowski prowadził swoje badania. Początkowo miałem nadzieję, że jest to może kolejny przypadek „literówki” drukarskiej. Istnieje bowiem jakaś dziwna skłonność języka polskiego do przeinaczania nazwy TROBRIANDY na „Triobrandy”. Nie potrafię wyjaśnić, skąd się ona bierze. Przypuszczalnie są to po prostu względy łatwiejszej wymowy. (A może są to względy psychologiczne - nasza słabość do tercetów, albo podejrzenie

piszących, że odkrywcom wysp chodziło o potrójne brandy!?). W każdym bądź razie o skłonności tej przekonałem się też na własnej skórze, kiedy to zecer składający mą pracę o magii uporczywie, wbrew moim korektom, obstawał przy „Triobrandach” i w efekcie w jednym przypadku udało mu się ją przemycić.³ Przekonuję się o tym fakcie również w moich codziennych rozmowach z adeptami etnografii.

Powróćmy może jednak do wspomnianego artykułu Pań Siemiaszko i Fatygi. Me nadzieje na błąd w sztuce drukarskiej okazały się płonne i rychło zostały rozwiane. W tekście niepoprawna forma „Triobrandy” powtarza się niezmiennie i nie ulega wątpliwości, że przez autorki uznana jest za normalną. Powie ktoś: Czepia się. Nie. Nie o to tu chodzi. Tę błędną formę przeoczyła także Redakcja PSzL. Nasuwają się dwie możliwości: albo - żywię taką nadzieję - było to zwykłe niedopatrzenie, albo i Redakcja uznała tę formę za naturalną; w każdym razie nie zwróciła na to uwagi. Rzecz prosta lapsusy mogą się zdarzyć każdemu. Przystają jednak nimi być, gdy stają się regułą. Na podstawie dotychczasowych kontaktów ze środowiskiem etnograficznym oraz wielu analogicznych do omawianego przypadków w literaturze współczesnej (może pominę już wyliczankę i niech każdy autor rozważy to sam) śmiem zatem twierdzić, iż zazwyczaj nie wchodzi tu w rachubę zwykłe przeoczenie, lecz powtarzający się u znacznej części piszących przejaw nieznamośności faktu i literatury dla każdego antropologa fundamentalnych. Mało ważne czy ktoś zapomniał jak brzmi prawidłowa nazwa Wysp, czy nigdy z nią się w oryginale nie zetknął, bo i w jednym, i w drugim wypadku jest to przejaw ignorancji.

Nie chciałbym, aby autorki przywołanego artykułu odebrały me słowa jako atak personalny lub, tym bardziej, na treść ich wypowiedzi. Chodzi mi bowiem o zjawisko o dość upowszechnionym charakterze i znajdują się one w niezłym towarzystwie. Ale przecież pisanie o Trobriandach jako o „Triobrandach” to niemalże tak, jakby np. o Polsce pisać regularnie „Psolka”, a o Danii per „Nadia”. Nie ma po co jeździć na „Triobrandy”, bo ich po prostu nie ma. Równie dobrze można jechać na Wyspy Bergamuty.

Dokładny opis położenia Trobriandów znaleźć można bez trudu w *Argonautach* Malinowskiego (patrz też załączona mapa). Natomiast do etnografów polskich apeluję, aby zwrócili uwagę na poprawny sposób przywoływania nazwy Wysp, które dla antropologii odgrywają rolę mniej więcej taką, jak dla biologii Wyspy Galapagos, dla antropologii fizycznej Olduvay w Kenii lub Neandertal w Niemczech, dla archeologii Troja a dla językoznawstwa (i archeologii) fort Saint Julien de Rosetta. Nie zauważyłem, by przedstawiciele wspomnianych dyscyplin zniekształcali gremialnie te geograficzne nazwy.

Niech mi będzie wolno przejść do drugiego z wymienionych w tytule tej noty elementu: złotej gałęzi. Zauważyć można niepokojące mym zdaniem i zataczające coraz szersze kręgi zjawisko pisania tytułu pracy Sir Jamesa Frazera w błędnej postaci „Złota gałąź”, czyli mamy „gałąź” pisaną z małej litery.⁴ Tymczasem w polskim tłumaczeniu skondensowanego wydania monumentalnego dzieła *The Golden Bough* znamienity tłumacz Henryk Krzeczkowski używa formy *Złota Gałąź*. I słusznie tak uczynił. Skąd więc biorą się niefortunne ulepszenia domorosłych poprawiaczy. Ano - tak jak uprzednio - śmiem twierdzić, że przynajmniej po części z ignorancji. Jeśli bowiem mamy w tym wypadku do czynienia z machinalnym stosowaniem polskiej pisowni tytułów prac książek, to źle. Jeśli zaś jest to próba korekty z pozoru nieprawidłowego przeniesienia pisowni angielskiej tytułu pracy z dużych liter na rzekomo poprawną pisownię polską, to jeszcze gorzej. (Raz nawet, o zgrozo, było mi dane usłyszeć: złota gałęź.).

W obydwu takich przypadkach wychodzi na jaw nieznamość treści dzieła Frazera, udostępnionego wszak polskiemu czytelnikowi już od bez mała 30 lat. Wystarczy zajrzeć, by się przekonać, że przez 582 strony tekstu (łącznie ze wstępem Jana Lutyńskiego) nieodmiennie *Złota Gałąź* pisana jest z dużej litery. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że taka była intencja autora. *Złota Gałąź* to motyw przewodni całej wędrówki po wierzeniach, rytuałach i zwyczajach różnych ludów, klucz do całej książki. Frazer zaczyna od obrazu J. M. Frazera zatytułowanego właśnie „Złota Gałąź”, na którym przedstawiony jest Król Lasu z Nemi, dzierżący w swych dłoniach miecz i strzegący dębu, na którym błyszczy *Złota Gałąź*. „Był to kapłan i morderca, wypatrujący tego, który go wcześniej lub później zamorduje

i obejmie urząd kapłana.” (s. 25). Zanim jednak następca dokonał tego „musiał ułamać gałąź z drzewa, którą starożytni uważali za *Złotą Gałąź Wergiliusza*”. (s. 34) Oczywiście nie miejsce tu na relacjonowanie treści *Złotej Gałęzi*. Dość powiedzieć, że wątki legendy ze starożytnej Italii ujawniają, zdaniem Frazera, swe uniwersalne cechy i nawiązania do podań i mitów innych ludów. Analogie te pozwalają Frazerowi na wyciągnięcie wniosku, że Król Lasu był być może „wcieleniem z krwi i kości wielkiego italskiego boga nieba, Jupitera, który w dobroci swej zstąpił z nieb w błysku piorunu, by zamieszkać między ludźmi w jemiele, miotle piorunowej - *Złotej Gałęzi* - rosnącej na świętym dębie w dolinie Nemi. Jeśli tak było naprawdę, nie zdziwi nas wówczas, że kapłan z obnażonym mieczem strzegł mistycznej gałęzi, w której znajdowało się życie boga i jego własne.” (s. 540)

Uznać również można, iż *Złota Gałąź* jest nazwą własną pewnego, określmy to ogólnie, atrybutu (przedmiotu) kultowego pojawiającego się w świętym zagajniku i sanktuarium Diany Nemorensis w Arycji włoskiej, strzeżonym przez jej kapłana. W tym sensie *Złota Gałąź* jest czymś analogicznym do, np., naszego Szczerbca lub nawet żydowskiego Tabernaculum (Namiotu Spotkania).

A więc pisanie tytułu omawianej pracy Frazera w błędnej formie „Złota gałąź”, to niemalże tak, jakby pisać Nowy Testament przez małe „t” (może trochę przesadzam). A że - nawiasem mówiąc - wbrew niezliczonym zarzutom *Złota Gałąź* jest czymś w rodzaju „Biblii” antropologa, to nie ulega dla mnie wątpliwości. Kiepski to „teolog”, który prowadzi swe wywody bez znajomości jego „świętej księgi” i jeszcze nonszalancko się na nią powołuje. Frazer zaczyna swe dzieło od słów: „Któż nie zna obrazu Turnera przedstawiającego *Złotą Gałąź*?” My zapytać możemy: „Któż nie zna pracy Frazera zatytułowanej *Złota Gałąź*?” Odpowiedź nasuwa się smutna. Ci, którzy mienią się być specjalistami w poruszanej w niej problematyce - etnologzy i religioznawcy.

Na koniec podkreślić raz jeszcze pragnę, że celem mej noty nie jest bynajmniej podkopywanie czyjegokolwiek autorytetu ani całkowite negowanie czyichkolwiek kompetencji. Nie myślę też przywiązywać zbytniej wagi do nieistotnych niekiedy szczegółów, co bywa często wyrazem nadmiernej i zbytecznej skrupulatności. Mam jedynie na uwadze uwrażliwienie na rzeczy, które stają się istotne ze względu na swe - nie budzące już dużej wątpliwości - źródło: rzeczony przejawy ignorancji, oraz ze względu na niebezpieczne rozprzestrzenianie się owej ignorancji. Diagnozę takiej sytuacji pozostawiam innym, choć już teraz wydaje mi się, że korzeniami swymi sięga ona do ogólnego braku szacunku dla klasyki i tradycji antropologicznej. Natomiast tym, którym moja argumentacja nie trafia do przekonania proponuję poszukiwanie złotej gałęzi na Triobrandach. Życzę powodzenia!

Michał Buchowski

PRZYPISY

¹ B. Fatyga, J. Siemiaszko, *Po co jechać na Triobrandy?*, „Polska Sztuka Ludowa” XLIII (3): 1989, ss. 177-181.

² J. G. Frazer, *Złota Gałąź*, Warszawa 1962 i wyd. następne. Przeł. H. Krzeczkowski. Korzystam tutaj z wyd. z roku 1965. B. Malinowski, *Argonauta Zachodniego Pacyfiku*, Warszawa 1981. Przeł. B. Olszewska-Dyoniziak i S. Szynkiewicz.

³ M. Buchowski, *Magia. Jej funkcje i struktura*, Poznań 1986, s. 76. Podobną historię opowiedział mi także Wojciech Burszta, któremu „zaocznie”, bowiem bez korekty autorskiej, wydrukowano nieodmiennie w jednym z artykułów „Triobrandy”. Patrz: W. Burszta, *Magiczna potęga słów*, „W drodze” 10 (182): 1988, ss. 47-56.

⁴ Oto niektóre tylko przykłady takiego błędnego zapisu:

Z. Sokolewicz, *Wprowadzenie do etnologii*, Warszawa 1974; H. Swienko, *Magia w życiu człowieka*, Warszawa 1983; H. Miś, A. Miś, *Okultyzm, magia i wróżby*, Warszawa 1982; S. Filipowicz, *Mit i spektakl władzy*, Warszawa 1988; A. Zadrożyńska, *Powtarzać czas początku*, Warszawa 1985; M. Nowaczyk, *Ewolucjonizm kulturowy a religia*, Warszawa 1989. Zaznaczyć pragnę, iż nie twierdę wcale, jakoby wysuwane poniżej sugestie o ignorancji stosują się wprost do tych wszystkich autorów, którym przytrafiło się napisać „Złota gałąź”. Rozumiem, iż często jest to kwestia - nazwijmy ją ogólnie - edytorska. Żle się jednak dzieje, gdy nawet w podręcznikach powiela się błędny zapis klasycznego dzieła przynależnego do kanonu danej dyscypliny, a autorzy nie przywiązują do tego wagi.